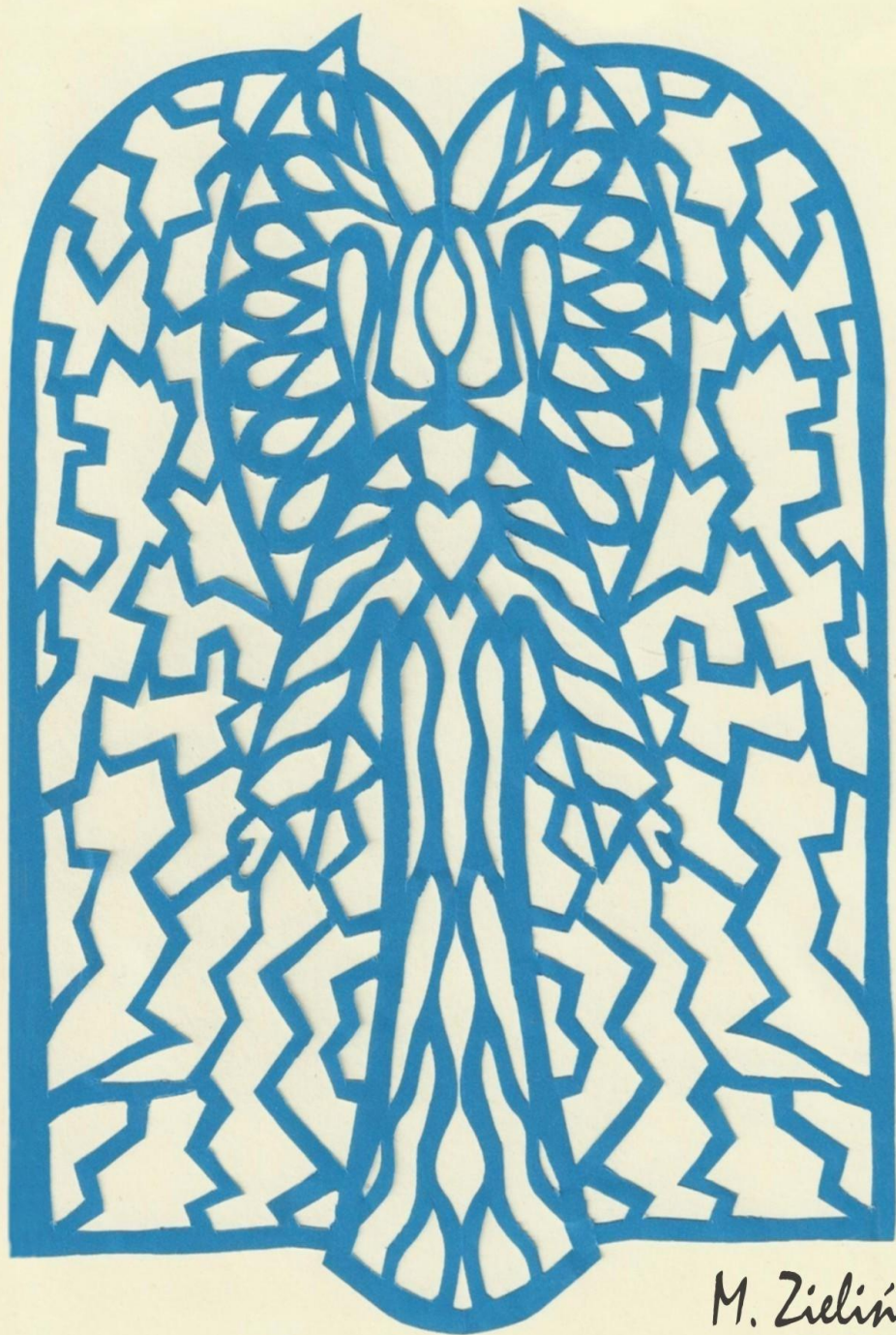


Zakręcone Polowanie



M. Zieliński

Mateusz Zieliński

ZAKRĘCONE POLOWANIE

© Copyright by Mateusz Zieliński (Self-publishing)
Grafika i projekt okładki: Kinga Skorupska
ISBN 978-83-63080-43-3

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2011

Prolog

Szedł wtedy nieco nerwowym krokiem. Zatłoczone ulice agropolis 01, sprawiały, że denerwował się jeszcze bardziej, ale nie to było najgorsze. Od co najmniej kilkunastu minut był spóźniony. Spotkanie miało być jednym z tych chwili w jego życiu, które zdarzają się w zasadzie tylko raz i nigdy więcej. Jego stan podniecenia graniczył z emocjami doznawanym w trakcie własnego ślubu. Nie był póki co żonaty. To, co odczuwał nie mógł przyrównać do uczuć, jakich doznaje się w trakcie składania małżeńskiej przysięgi – może, co najwyżej ze stresem związanym ze zdawaniem matury lub egzaminem na studia. Było dość parno jak na wieczór. W sumie nie było w tym nic dziwnego, ponieważ nagrzone za dnia, drzewa i rośliny – wieczorem, kiedy było już nieco chłodniej, oddawały ciepło, które objawiało się w postaci sunącej nad ziemią mgły. Jakub, pomimo iż był w samym środku – jakby to nie było miasta, czuł się jak w szklarni. Metropolia była nieprawdopodobnie cicha. Na ulicach przemieszczali się tylko piesi i co najwyżej rowerzyści. Miejska kolej, a także tramwaje i metro sunące po magnetycznych torowiskach, były tak ciche, że kiedy nadjeżdżały, słychać było jedynie furgoczące wokół powietrze.

W końcu dotarł do przystanku. Spostrzegłszy nadchodzący ze wszystkich stron mrok, który spłoszył okoliczne gołębie, poczuł ulgę. Sunący nad jego głową ogromny cień, który zdawał się zapowiadać zaćmienie słońca, nie był dla niego niczym niepokojącym – wręcz przeciwnie. Sterowce, były najpow-

szechniejszym środkiem transportu w wielu agropolis. Były ciche, energooszczędne i pomimo małych prędkości, jakie rozwijały, szybkie. Latające helowe olbrzymy nie potrzebowały budowy dróg czy torowisk. Ponadto bez względu na istniejące na ziemi przeszkody – na przykład: inne środki lokomocji, budynki, góry i lasy, zawsze poruszały się w linii prostej. Podróż nie trwała długo. Jakub, po niespełna piętnastu minutach był już prawie na miejscu. Pasaż sklepów, którym szedł, łączył się z czymś w rodzaju bazaru. Ścieżka – po której rozciągały się dwa pasy blokowisk, była zacieniona. Na płaskich dachach, starych betonowych bloków, dało się dostrzec piękne ogrody. Spóźniony mężczyzna nie zwracał na nie uwagi. Mijając po drodze kilka sklepów, w końcu przystanął. Zobaczywszy nad witryną stary szyld, na którym widniały wyblakłe litery, tworzące słowo: „antykwarjat”, wszedł do środka.

– Szuka pan czegoś? – zapytał trochę nietypowo sprzedawca.

– Byłem umówiony – wyjaśnił lekko zdyszany Jakub. – Jestem już po badaniach i... – przerwał nie mogąc znaleźć odpowiednich słów.

– Z kim jest pan umówiony? – zapytał znowu tajemniczo sprzedawca, odkładając książkę, którą właśnie przeglądał.

– Z panem kierownikiem – odrzekł, a następnie dodał nieco jaśniej. – Pan Marcel umówił się ze mną na osiemnastą... Trochę spóźniłem się i...

Sprzedawca, odwracając się w stronę zaplecza zrobił kilka kroków naprzód, a następnie przystając dorzucił pytająco z lekką pogardą:

– Jak nazwisko?

– Co proszę?

– Pana nazwisko! – powtórzył głośniejszym z irytacją.

– Teclaw... – odrzekł krótko, widząc jak sprzedawca znika gdzieś za rogiem zaplecza.

Czekając chwilę, mógł przyjrzeć się nieco bardziej miejscu, w którym właśnie się znalazł. Tradycyjne książki były rzadkością – te nowe wydawano niemal zawsze w wersji elektronicznej. Zakurzone regały, wypełnione starodrukami z przed, co najmniej stu lat, budziły szacunek i trwogę. W zacienionym pomieszczeniu było dość sucho i cicho. Jakub – przyglądając się niektórym książkom, dostrzegł gdzieś na półkach same okładki z krótką informacją, że dany egzemplarz – z powodu złego stanu, jest sprzedawany jako e-book. Dostrzegłszy na ladzie sprzedawcy dwie popielnice i tłące się w nich niedopałki papierosów, które niebezpiecznie okadzały leżącą blisko książkę, zdziwił się. Starodruk był niewątpliwie w niebezpieczeństwie. Zaraz potem przyglądając się nieco bliżej, zobaczył pogięte kartki. Antykwariusze nie dbali o książki. W tym też nie było w tym nic dziwnego, ponieważ handlem zakazaną literaturą, często zajmowali się ludzie z półświatka. Agropolanie, którzy interesowali się starodrukami jedynie, dlatego ponieważ były niedostępne i tym samym drogie, często nie znali się tak naprawdę na literaturze. Byli to ludzie często bez kultury, wykształcenia i honoru. Jakub nie zastanawiał się nad tym zbyt długo. Chwilę później wrócił sprzedawca. Tuż za nim, powolnym krokiem szedł kierownik. Mężczyzna był otyły i – tak jak przypuszczał Jakub, sprawiał wrażenie kogoś, kto zajmował się sprzedażą kradzionych rzeczy.

– Witam panie Teclaw – przywitał się głośno sapiąc. – Słyszałem, że przeszedł pan pomyślnie badania.

– Tak... Proszę wybaczyć za spóźnienie – odrzekł Jakub.

Stojący obok sprzedawca odsunął krzesło ledwo co mieszczącemu się za ladą Marcelowi, a następnie kładąc na blacie jedną z książek, wyjaśnił:

– To nie do końca to, czego pan szukał, ale myślę, że to jest nawet lepsze.

– Nie rozumiem – zdziwił się Jakub.

– Panie Teclaw – wtrącił kierownik – mówiłem panu, że nie będzie łatwo. Zajmujemy się, jakby to powiedzieć... – przez chwilę myślał – raczej polską literaturą. Równocześnie mógłby pan kazać sobie przynieść zwoje znad Morza Martwego.

– To tylko zwykła *Hebraica* – dziwił się Jakub. – Trzeba było szukać po gminach żydowskich, synagogach, szkołach rabinackich...

– Tysiąc JP – nagle przerwał Marcel. – Bierze pan, czy nie. Zmieszany Jakub, chwilę zastanawiał się w milczeniu.

– To połowę taniej... No nie wiem – w końcu wymamrotał.

– Ma pan tutaj cały Stary Testament, Nowego nie musi pan czytać – wyjaśnił sprzedawca.

– Jest po polsku... No nie wiem – grymasił Jakub, przeglądając pierwsze kartki starodruku.

– Dlaczego wy moiśki zawsze musicie mieć wszystko dla siebie? – zapytał nieco pogardliwie Marcel. – Co to, za różnica czy jest po polsku czy po hebrajsku?

– ... Są apokryfy, niedobrze – ciągle mamrotał Jakub.

– Tego też nie musi pan czytać – tłumaczył kierownik antykwariatu.

– Chyba nie mam wyboru – odparł w końcu nie do końca zadowolony Jakub. – Biorę.

Zdziwiony szybką decyzją, antykwariusz wypalił do końca papierosa, a następnie zapytał:

– Niech mi pan powie, panie Teclaw. Dlaczego pan tak ryzykuje?

– Myślałem, że zależy panu tylko na sprzedaży. To moja sprawa – odrzekł.

– Tydzień temu był pan u naszego bio-informatyka, prawda?

– Tak... – potwierdził Jakub.

– No właśnie – ciągnął dalej Marcel. – Gdyby pan nie przeszedł pomyślnie badań, nie byłoby pana tutaj... Trafiałby pan do zaświatów. Wierzy pan w zaświaty? W zasadzie – dorzucił

chłodno – według mnie po prostu by pan nie żył. Ja wiem, że śmierć jest tabu, że wolimy ją nazywać wędrówką dusz, ale przecież doskonale pan wie, panie Teclaw, że ona istnieje. Jakkolwiekby się na nią nie spojrzało ona istnieje. Zapewniam pana.

– Możliwe – przytaknął Jakub rozumiejąc, że ma odczynienia z najprawdziwszymi przestępcami.

– Pański umysł jest czysty. Nasz bio-informatyk uznał, że pana VPC nie zawiera jakichkolwiek niepożądanych informacji. Nie ukrywam, to nas bardzo cieszy, ale czegoś tu nie rozumiem...

Jakub zamilkł z przerażenia.

– Pana bio-informatyk na pewno wie, dlaczego tu się znalazłem – w końcu odparł zalany potem.

– Tak, mówił nam, że jest pan z jakiejś sekty i w ogóle, ale... Proszę wybaczyć mi, nie jestem wierzący. Jak to jest, że nie jest pan ekumenistą? Dzisiaj wszystkie religie są połączone. Dlaczego pan naraża się na pośmiewisko? Przecież, jeśli u pana to znajdują, – wskazał na starodruk – to pana zaaresztują. Pan nie wie, co to jest więzienie?

– Panie Marcel – odrzekł w końcu Jakub. – Ja nie mam wyboru, ja muszę uratować brata.

– To są fanatycy szefie – wtrącił się w końcu sprzedawca. – Fanatycy i terroryści... Mordują za cudzołóstwo.

– Mamy wysokie standardy moralne – tłumaczył Jakub. – I wypraszam sobie, ten terroryzm. Zapewniam panów, że nikt z nas niczego nie wysadził powietrze. My stosujemy swoje prawa tylko w odniesieniu do tych, którzy je akceptują. To może здаwać się okrutne i głupie, ale przecież panowie wiedzą. Tyle się mówi o tej przemocy w rodzinach. Kiedyś pedofilia była przestępstwem...

Sprzedawca i kierownik antykwariatu niemal równocześnie parsknęli śmiechem.

– ... Jeszcze sto lat temu z powodu niewierności małżeńskiej można było się rozwieść – próbował dalej tłumaczyć.

– Panie Teclaw – przerwał w końcu Marcel. – Ja szanuję pana, ale proszę wybaczyć, to co pan mówi, to zwykła bzdura. Dawniej religie zabraniały cudzołóżnego dupczenia, ponieważ cywilizacja za bardzo ceniła życie. Godność, szacunek i dobroć. Wszystkie te przestarzałe pojęcia wynikały z przeświadczenia, że życie tu i teraz jest jedynym, co mamy i że po śmierci trafiamy do nieba albo do piekła. Pojęcie nieba i piekła było w każdych religiach. Idea usprawiedliwienia i potępienia była znana każdemu. Teraz śmierć jest tabu – dodał szeptem – teraz żyjemy wiecznie.

– I dlatego uważa pan, że tym samym nikt z nas nie potrzebuje godności. Ja nie wierzę w niebo i piekło. W sprawiedliwość owszem...

– No właśnie, i w potępienie – powtórzył kierownik antykwariatu. – Teraz nastała epoka racjonalizmu. Dzisiaj wiemy, że śmierć nie jest końcem wszystkiego. Udowodniła to nauka. Wszystkie nieszczęścia wynikały z faktu, iż dawne cywilizacje za bardzo ceniły życie. W każdym z nas tkwi dzikość – chęć wyrządzenia drugiemu człowiekowi krzywdy dla czystej przyjemności. Pan, panie Teclaw nazwałby to bestialstwem, ale taka jest nasza natura. Ból czasami potrafi być rozkoszą...

– O ile zrezygnujemy z człowieczeństwa – wtrącił Jakub. – Muszę pana rozczarować. Moja religia również w pewnym sensie nie przywiązuje wagi do życia. Mój Bóg karze takich śmiercią. Zabraniaamy, cudzołóżyc i kraść jedynie, dlatego, że tak nakazuje Haszem i dlatego, że nigdy się na Nim nie zawiedliśmy. My potrafimy zabić i bynajmniej nie robimy tego dla przyjemności.

– Jeśli nie z przyjemności, to pewnie z zemsty. Dla mnie zemsta, to pewien rodzaj satysfakcji – oznajmił Marcel. – Satysfakcji i przyjemności.

– Nie zabijamy z zemsty!

– To, dlaczego chcą zabić panu brata?! – zapytał wprost kierownik antykwariatu. – Bio-informatyka nie kłamie, przyjacielu. Chcesz go uratować, bo wiesz, że sekta do której należysz nie ma racji. To, dlatego chcesz kupić tę kretyńską księgę! Chcesz znać wszystkie jej prawa i przepisy! Chcesz przekonać arcykapłana, że się myli!

– Nie! – zaprzeczył Jakub, a następnie zapadła grobowa cisza.

– To, dlaczego pan ją kupuje? – zapytał po chwili nieco spokojniej Marcel.

Jakub, schylając czoło przez moment zastanawiał się, aż w końcu odrzekł najzupełniej poważnie:

– Chcę znać prawdę.

Dobiwszy targu wyszedł. Będąc już na przystanku nie pamiętał dokładnie przebiegu transakcji. Jedno było pewne – w rękę trzymał najprawdziwszą Biblię. Widząc przechodniów doszedł do wniosku, że będzie lepiej trzymać starodruk na kolanach i zasłaniać go obiema dłońmi. „Dlaczego nie wzięłeś siatki?”, pytał sam siebie, coraz to patrząc błagalnie w niebo. Sterowiec od kilku minut spóźniał się. W tym momencie Jakub przypomniał sobie fragmenty, jeszcze chwilę temu, przeprowadzonej rozmowy. Zastanawiał się, jak mógłby lepiej wytłumaczyć to, w co wierzył. Irytowało go, że nie powiedział w zasadzie, dlaczego jego religia każe zabijać cudzołożników. Nie powiedział, że jest to konieczne z powodu ochrony czegoś, co dawniej nazywano miłością i godnością. Zaraz potem, doszło do niego, że musiałby wytłumaczyć swoim rozmówcom czym w ogóle jest miłość i godność i tym samym w końcu zupełnie zwątpił w to, że zrozumieliby te pojęcia. Wiedział, że podstawą ich rozumowania był czysty hedonizm, a nie dobro ogółu i że dlatego najpewniej ich rozmowa do niczego by nie prowadziła. W końcu doszedł do wniosku, że kara śmierci – nawet za z pozoru błahe przewinienia, jest słuszna, ponieważ stoi na straży człowieczeństwa. Nie chodziło o człowieczeństwo w rozumieniu

życia tu i teraz – jak z pewnością twierdziliby jego rozmówcy, ale o człowieczeństwo w ogóle – chodziło o dobroć, sprawiedliwość, godność i w końcu o upragnione szczęście, które ma nadejść w postaci zmartwychwstania. Jakub myśląc nieco głębiej upewnił się. Przypomniawszy sobie jakby na nowo, że przestrzeganie dekalogu nie jest dla życia tu i teraz, ani dla życia tam – to jest po zmartwychwstaniu, ale dla miłości dusz ludzkich i miłości wiekuistego Haszem! „Tak naprawdę nie chodzi o to, że robimy lub nie robimy czegoś, dlatego, że boimy się śmierci i piekła, ale o to, że kochamy to coś lub tym pogardzamy, pomyślał, a następnie upewniwszy się, skwitował: „Tak... Życie polega na miłowaniu lub nienawidzeniu”. Zaraz potem przeraził się własnych myśli. Miłość – która według niego była przyczyną wszystkiego – zarówno dobrego jak i złego, doprowadziła go do przeświadczenia, iż ostatecznie człowiek jest istotą nierozumną. Jakub zrozumiał, że takie pojęcia jak: prawda, dobro, sprawiedliwość i miłość pomimo, iż są bezsprzecznie logiczne i słuszne, wcale nie muszą być przez wszystkich wybierane, ponieważ głównym kryterium wyboru – jakim posługuje się rasa ludzka, jest miłość, a nie rozum. W tym momencie Jakub przypomniał sobie o zgorszeniu, jakie popełnił jego straszny brat. Nie dowierzał, że mając żonę i dziecko, wdał się w romans z o wiele młodszą od niego kobietą – właściwie nastolatką, tylko po to, aby poczuć się na chwilę kimś innym. Pytając go o szczegóły jego pozamałżeńskiego związku usłyszał, że robi to głównie dla większej różnorodności. Czymkolwiek miałyby być ta różnorodność ostatecznie przyznał, że fascynuje go przemoc i to w dodatku ta seksualna i że z szacunku do swojej żony musiał wybrać sobie inną niewiastę, aby po prostu się na niej wyżyć. Z drugiej strony mówił, że bardzo ją kocha i, że chce mieć w przyszłości z nią dzieci. Jakub myśląc o tym wszystkim, wciąż drżał z przerażenia. Z jednej strony chciał ratować brata przed śmiercią, a z drugiej chciał o nim zapomnieć. Było mu żal nawet dziewczyny, z którą robił

wszystkie te ohydztwa. Ostatnio nawet ją spotkał. Była w sumie jeszcze dzieckiem – złęczonym, nieświadomym dzieckiem. Owszem, z jej twarzy biła arogancja, obojętność i pewnego rodzaju dorosłość, ale przede wszystkim wynikający z nieświadomości strach. Pamiętał, że pytał ją czy jest z nim szczęśliwa. Odpowiedziała, że tak. Pytał ją czy lubi, kiedy ją bije – ku jego zdziwieniu, również odpowiedziała twierdząco. Później – jak również i teraz, z całych sił próbował zrozumieć: „dlaczego?”. Nie widział żadnych powodów dla, których można by rozkoszować się przemocą. Jedyne powód, jaki przychodził mu na myśl, to w pełni świadoma chęć bycia ponad wszelkimi normami etycznymi i religijnymi. Zaraz potem nie zastanawiał się nad tym. W pewnym momencie złapał się na tym, że nienawidzi własnego brata – że mimo wszystko życzy mu śmierci. Nienawiść ta nie wyrastała z egoizmu lub zazdrości, jak można było przypuszczać, ale z czegoś, co on sam nazywał: „świętym gniewem”. Jakub chciał oczyścić dobre imię bratowej. Było mu szczególnie żal bratanka, który był jeszcze dzieckiem i nie rozumiał zbyt wiele. Lea – jego bratowa, nie miała starszych dzieci – synów, którzy mogliby ją wesprzeć ani, co gorsza, nawet interesujący się jej losem rodziców. Jakub z całych sił chciał jej pomóc, ale z drugiej strony wstydził się. Nie chciał przyznawać się do brata. Starał się odwiedzać ją trochę częściej niż zwykle, ale nie zawsze mógł. Teraz kupił Biblię. Miał nadzieję, że coś w niej znajdzie – że dzięki niej zdoła przemienić ohydę w piękno – nieprawość w sprawiedliwość.

Jego myśli w końcu przerwał nadchodzący z północy cień. Sterowiec właśnie podchodził do lądowania. Po chwili, był już w środku gondoli powietrznej maszyny. Usiadł przy oknie...

Rozdział I

Spośród wszelkich możliwych wizji przyszłości, ta prawdziwa okazała się być naprawdę zaskakująca. Zaskoczenie to, wynikało z bardzo prostej przyczyny. Starożytni, zwykli bowiem opisywać przyszłość na dwa chybione sposoby – na sposób futurystyczny i apokaliptyczny. W tej pierwszej wizji rysowały im się obrazy pełne statków kosmicznych, teleportów i robotów, a w tej drugiej, obrazy zniszczonych miast, skażenia atomowego, wojen i generalnie życia, w którym cywilizacja cofnęła się do epoki kamienia łupanego. Po drugie, niemal każde pokolenie patrząc w przeszłość – nawet w tą nie tak bardzo odległą, zawsze dziwiło się powstawaniu rozmaitych wynalazków. Kiedyś na przykład dziwiono się telewizorom i komputerom tylko, dlatego, ponieważ za czasów młodości starego pokolenia nie nie zapowiadało pojawienia się tak dalece „zaawansowanych” nowinek technicznych. Teraźniejsze czasy – pod tym względem, nie różniły się od tych dawnych. Zaskoczenie wynalazkami było równie duże, co dawniej i jak zwykle – chodź były one prozaiczne w swym zastosowaniu, przybierały kształty zupełnie wykraczające poza wyobrażenie jakichkolwiek fantastów. Dużym zaskoczeniem była na przykład informatyczna transformacja komputerów. W pewnym momencie, okazało się bowiem, że dalsze zwiększenie mocy obliczeniowej dawnych procesorów musiałoby wiązać się z łamaniem praw fizyki. Owszem, można było rozwiązać ten problem budując coraz to

większe komputery, ale nie oto tu chodziło. Jak zwykle, wszystkiemu winna okazała się ludzka natura. Dostrzeżono mianowicie – co zresztą było wiadome od dawna, że człowiek ponad wszystko ceni zabawę. Tak więc, globalny popyt na zwiększenie mocy obliczeniowej strych pecetów, był spowodowany niemal w każdym przypadku: chęcią grania w coraz lepsze gry komputerowe, oglądaniem filmów w coraz lepszej grafice oraz wręcz żądzą gromadzenia niewiarygodnej ilości informacji, które można było pozyskać oczywiście z internetu. Wszystko to, jednak nie wystarczało. Moc obliczeniowa krzemu i różnych izotopów grafitu oraz wszelkiego rodzaju przewodników i nadprzewodników w końcu poległy, nie sprostawszy wymogom *homo ludens*. Nadeszła więc era innych – nowych komputerów, których forma – jak zwykle, znów mijała się z wyobrażeniami futurystów. Forma nowych pecetów nie była właściwie obca – nieznana przeszłości! Jak to możliwe? A jednak... Możliwe i w sumie bardzo logiczne. VPC (*very personal computer*) stanowił prawie w stu procentach ludzki mózg. Ilość połączeń nerwowych w każdym przeciętnym ludzkim mózgu, których liczba jest większa od liczby atomów we wszechświecie, dała podwaliny pod stworzenie czegoś, co obecnie nazywano bio-informatyką. Teraz, dzięki nowym – naprawdę osobistym komputerom wystarczyło tylko zamknąć oczy, aby skorzystać na przykład z internetu albo żeby zagrać w ulubioną komputerową grę. Wystarczyło chwilę się skoncentrować, aby cokolwiek sfilmować lub sfotografować. Aby cokolwiek obliczyć lub cze-
gokolwiek się nauczyć, wystarczyło skorzystać z VPC. Chyba najbardziej zaskakującym dla starożytnych, zjawiskiem – oprócz VPC, byłyby prostota życia. Przed nastaniem kolejnej nowej ery uważano, że człowiek z uwagi na cywilizacyjny postęp będzie gromadził coraz więcej dóbr. Nic bardziej mylnego. Okazało się bowiem, że gromadzone przez ludzkość wszelkie dobra, na przykład: książki, telewizory, samochody, komputery, ubrania oraz drobne narzędzia gospodarstwa domowego,

stały się główną przyczyną katastrof ekologicznych. Ekolodzy doszli do wniosku, iż należy się wyzbyć wszelkich cywilizacyjnych, niepotrzebnych wygód. Dlatego też, władze polityczne w tym już nieistniejąca Unia Europejska pierwsze, co zrobiła, to nakazała wszystkim fabrykom – co wręcz wydawałoby się niemożliwe, aby wytwarzane masowo, wszelkiego rodzaju przedmioty były jak najprostsze i ergonomiczne. Kilka lat później zaczęto wytwarzać między innymi: niczym niebarwione – utkane z naturalnych włókien jednolite tuniki, ceramiczne biodegradowalne sztućce, gliniane meble, doniczki z pulpy papierowej oraz wiele tym podobnych rzeczy codziennego użytku. Starożytni – szczególnie ci z północnej części Europy, z pewnością dziwiliby się prostym, niefarbowanym szatom, które na dodatek były przeznaczone zarówno dla kobiet jak i mężczyzn. Proste tuniki nosiły również dzieci – oczywiście były one szyte odpowiednio mniejszymi. Każda utkana z włókien lnu albo bawełny suknia, miała co najmniej parę dużych kieszeni. Na wielkości szat i liczbie ich kieszeni, różnorodność w ubiorze kończyła się. Trzeba zaznaczyć, że do owej rewolucji pragmatyzmu, jak na ironię, przyczyniło się globalne ocieplenie. Rozregulowane cykle pór roku, to jest: ostre przeciągające się do lata zimy oraz krótkie deszczowe wiosny, spowodowały masowe zanikanie flory i fauny. Jediną nadzieją było sztuczne odbudowywanie warstwy ozonowej. Proces ten polegał na rozpylaniu w atmosferze, niewyobrażalnej ilości gazów szlachetnych – głównie argonu oraz pary wodnej. Po kilku tysiącach lat intensywnej pracy inżynierów i naukowców udało się. Efekt nawet przerósł oczekiwania. Na przykład, na terenach Europy Północnej, od jakiegoś czasu zaobserwowano, że nie ma już zimy i co więcej, że znaczna część tych terenów zaczęła obfitować w typowo tropikalne drzewa i rośliny: figowce, bananowce, storczyki, dzbaneczniki i tym podobne. Roślinność ta, zaczęła się tak szybko rozpleniać, że zaczęto ją widywać – i to w niemałych ilościach, w dużych miastach. Na ziemi – niemal wszędzie za-

czał panować ciepły i zarazem wilgotny klimat. Nikt nie sądził, że europejskie miasta z betonu i szkła, kiedyś zostaną opanowane przez nachalną dżunglę, która swą niepohamowaną ekspansją rozrastała się, jakby w odwecie za niegdyś wyrządzone jej krzywdy. Ludzkość – zamiast walczyć, nauczyła się korzystać z zasobów przyrody. Zaczęto zakładać tak zwane agropolis – miasta-ogrody, gdzie każdy mógł hodować i sprzedawać, co tylko chce. Uprawiano wszędzie: na balkonach, na dachach, na ulicach, a nawet w piwnicach. W zasadzie, nie zwykło się budować w agropolis nowych betonowych konstrukcji. Tego typu architektura, była po prostu nieergonomiczna i tym samym raczej spostrzegano ją, jako zabytkową. Wznoszono natomiast coraz więcej bio-domów. Ogromne – wyrastające z ziemi grzyby, które kształtem i kolorem przypominały o wiele mniejsze purchawki, miały wiele zalet. Po pierwsze – podczas gdy każdy inny dom należało wybudować, te dosłownie rosły same. W twardej, acz mimo wszystko piankowej strukturze bio-domu, należało tylko wydrążyć, klatkę schodową, pokoje oraz doprowadzić sanitariaty i elektrykę. Po drugie, ich wrośnięta w ziemię grzybnia doskonale oczyszczała zużytą przez mieszkańców wodę. Bio-domy w zasadzie były mikro-oczyszczalniami ścieków. I w końcu, po trzecie, wykorzystując energię słoneczną i powstały z fekalii bio-gaz, produkowały prąd. Najwięcej takich budowli było w agropolis, które jeszcze trzysta lat temu nazywano Warszawą. Agropolanie tego miasta, nie różnili się zbytnio od innych obywateli. Tak jak większość ludzi zajmowali się oni uprawą własnych ogrodów, rzemiosłem i handlem. Ponadto zazwyczaj byli mili, uprzejmi, a nawet wielkoduszni. Starożytni patrząc na ich uśmiechnięte twarze, z pewnością byliby zaskoczeni ich otwartością i dobrocią, jaką zwykli wszystkim okazywać. Jeszcze te kilka tysięcy lat temu, powszechnie uważano, że przyszłość będzie coraz bardziej moralnie upadła i niegodziwa. Te przypuszczenia w pewnym sensie okazały prawdą. Dobroć z jaką dzisiaj można było się spotkać,

była tak naprawdę w dużej mierze powierzchowna. Agropolanie byli na co dzień mili, towarzyscy i beztroscy, ale ich osobiste kontakty rodzinne rysowały zupełnie inną rzeczywistość. Cokolwiek robili uważali to za dobre i tym samym nierzadko zło, którego się dopuszczali uznawali za coś zupełnie naturalnego i nieszkodliwego. Ową dobroć zła w znacznym stopniu argumentowali teorią ewolucji, która zakładała dobór naturalny oraz konkurencję międzygatunkową. Dlatego też w pewnym sensie świat faktycznie stał się moralnie upadły i niegodziwy, ale z uwagi, iż tłumaczono zło nauką, bynajmniej nie odbierano tego w taki sposób. Wiele w ostatnich wiekach rozwiązała tak zwana „rewolucja prostoty”. Ludzkość zrozumiała, że musi zachować tylko te wytwory cywilizacji, które są pożyteczne. Wszystkie światowe potęgi ekonomiczne przeszły coś w rodzaju rewolucji kulturalnej. Życie człowieka miało być przede wszystkim pożyteczne. Mówiono potocznie, że wtedy zabrano wszystkim komputery i telewizory i kazano wziąć się do pracy... jakiegokolwiek pracy. Po latach okazało się, że najlepszym zajęciem było ogrodnictwo. Natura bowiem, nie oszukiwała, nie narzekała i co ważne była hojna. Wystarczyło dać jej odrobinę ziemi, światła i wody. Miasta stały się ogrodami, w których praca nie pozwalała na zastanawianie się. Uważano, że przyroda odpowiadała na wszelkie pytania natury filozoficznej egzystencjalnej, a nawet religijnej i że tym samym wystarczyło tylko ją naśladować.

Tym razem była w ogrodzie. Jej lekko ściemniałe blond włosy sugerowały, że nie jest już małym dzieckiem. Nazywano ją Mari. Jej miły, acz poważny wyraz twarzy sprawiał, że spostrzegano ją jako mądrą, zrównoważoną, dorastającą nastolatkę. Miała dwanaście lat i jak każde dziecko w tym wieku zaczynała coraz więcej rozumieć. Była osobą, która umiała współczuć, szanować, a nawet w pewnym sensie kochać. Czyniła to wszystko na swój dziecięcy – nieco naiwny sposób. Wydawało się, że mówi do siebie. Nieco pośpiesznym krokiem, wyciągnęła

z pobliskiej glinianej szafki – która stała na tarasie, kilka szklanych słoików. Szkło było materiałem dość cennym. Nie wytwarzano go już na skalę masową. Nie robiono już wielu przedmiotów z tego materiału. Szklane okna nie były już potrzebne w tak ciepłym klimacie, a niegdyś wytwarzane na skalę masową: słoiki, klosze do lamp i szklanki, ustąpiły glinie oraz biodegradowalnemu przeźroczystem tworzywom. Mari jednak miała w ręku prawdziwe szklane słoiki. Wytwarzali je nieliczni szklarze i sprzedawali jako rodzaj sentymentalnej pamiątki minionych wieków. Po chwili, Mari z tej samej szafki wyjęła wykonaną z drobnych bawełnianych włókien, siatkę na motyle.

– ... Głupi synthek – znów powiedziała sama do siebie Mari, przenosząc ostatnie słoiki wraz z siatką na motyle. – Musiał przerwać w najlepszym momencie.

– Głupi?! – powtórzył rozbrzmiewający w jej głowie tajemniczy głos. – To z tobą chyba jest coś nie tak. Ja jestem tylko wirtualną symulacją twojej matki. Przecież znasz zasady zdobywania JP. Prawda?

– Nic nie rozumiesz. To jest spisek – odparła wciąż niezadowolona Mari. – Przecież to wiadome, że pozwalają nam więcej pracować niż bawić się. JP to wyzysk.

– Nie przesadzaj. Grałaś w choreography ponad pięć godzin. Przecież wiesz, że to kosztuje. Wydałaś wszystkie 12 JP na zabawę. Teraz czas zrobić coś pożytecznego. Jako twój synthespianin dałem ci wybór. Mogłaś zająć się pracą w ogrodzie, nauczyć się twierdzenia Pitagorasa albo polapać motyle. Sugeruje wziąć się do pracy lub nauki, jeśli zależy ci na kolejnych JP.

Mari tym razem zamilkła. Postanowiła nie wdawać się dyskusję z głosem sztucznej matki, który namiętnie bombardował jej umysł. Wiedziała, że synthespianie są nieugiętymi programami informatycznymi, które mają za zadanie wychowywać i kształcić. Wiedziała też, że zdobycie JP (jednostek pracy) nie będzie tak przyjemne i łatwe jak gra w choreography. Łapanie

motyli, umieszczanie ich w słoikach z zamiarem sprzedania ich, było uznawane przez synthespian za prowadzenie własnej działalności gospodarczej. Mari otrzymywała za każdy sprzedany słoik 0,5 JP. Trzeba było nałapać co najmniej kilkadziesiąt motyli i co ważne sprzedać je, aby zarobić godziwą ilość wirtualnych jednostek pracy. Mari pocieszała się jedynie tym, że motyle były chętnie kupowane. Lubiły je zarówno dzieci jak i dorośli. Idea uwięzionych w szklanej pułapce owadów, polegała na zaspokojeniu bardzo prozaicznej potrzeby ciekawości. Synthespianin Mari, zaliczał jej działalność do sprzedaży małych zwierząt domowych, co dla potencjalnego właściciela słoika oznaczało wydatek określonej ilości JP. Było to całkiem logiczne. Wszystko bowiem, co chciał nabyć człowiek, było ściśle zależne od tego, czy zapracował na to. Wcześniej taką zależność – zależność między pracą a nabywaniem określonych usług lub produktów, regulował pieniądź. Był to zastępczy środek płatniczy, którym można było dokonywać różnych transakcji. Miał on jednak kilka wad. Po pierwsze taki pieniądź nie zawsze odzwierciedlał realną wartość. Często bywało, że dajmy na to starożytna wartość dziesięciu euro dla jednych nic nie znaczyła, a dla drugich była majątkiem. Taki stan oczywiście wynikał z inflacji i różnego stopnia zamożności, która miała swoje źródło w nierówności społecznej. Po drugie pieniądź był nieekologiczny i w końcu po trzecie, pieniądź był bezproduktywnie gromadzony. Starożytni nie wiedzieć, dlaczego mieli dziwny zwyczaj obdarowywania rozmaitymi dobrami swoich bliskich. Okazało się, że taki altruizm był tylko pozornie dobry. Bywało mianowicie tak, że niektóre osoby, otrzymawszy na przykład duży spadek po dziadku, później nie trudniły się żadną pracą. Takie osoby uważały się za bogate i tym samym niegodne jakiegokolwiek zajęcia prócz tego, które miało znamiona rozrywki. Później dowiedziono, że to właśnie z powodu takich osób wiele państw przechodziło ekonomiczne kryzysy. Ludzie zaślepieni pieniądzem zapomnieli w czym tkwi jego prawdziwa ekono-

miczna wartość. Wkrótce okazało się, że głównym czynnikiem gwarantującym stabilność gospodarczą nie było gromadzone dobro, ale praca. Dostrzeżono, że na przykład posiadanie sztaby złota, albo diamentów o niczym nie świadczy. Szczególnie nie miało to znaczenia, kiedy świat nawiedzały fale kataklizmów i głodu. Każdy, kto w tych trudnych czasach posiadał coś wartościowego, naturalnie nie mógł się tym najeść, a i sprzedanie tej rzeczy równie głodnym ludziom, nie miało sensu. Okazało się, że ludzkość w krytycznym momencie obłąkanego kapitalizmu oraz w obliczu coraz częstszych katastrof naturalnych, musiała na nowo zdefiniować ideę pieniądza – wartości. Mała Mari na szczęście rozumiała wartość i znaczenie użytecznej pracy. Przyjmowała tę naukę z bólem i żalem, ale i z nadzieją. Z nadzieją na kolejne chwile miłej zabawy.

Dawna Warszawa nosiła teraz nazwę: „agropolis 01” – wszystkie miasta na świecie z takim numerem oznaczały stolicę. To właśnie tam mieszkała Mari i cała jej rodzina. Ich wykupione za niedużą ilość JP mieszkanie, było małe, ale zadbane. Bio-dom, w którym mieszkali, w zasadzie był częścią większego bloku. Oprócz rodziny Mari, mieszkano w nim jeszcze kilkanaście ludzi, których czasami widywali na klatce schodowej. Teodor – starszy brat Mari, był nieco inny. Najbliżsi spostrzegali go, jako zbyt uczuciowego i zamyślnego. Oprócz tego był miły i usłużny. Nie był to typ, egocentrycznego młodzieńca, który zamykał się we własnym świecie. Wręcz przeciwnie. Na tyle ile mógł, pomagał w różnych domowych obowiązkach. Często bywało tak, że musiał zostawać z Mari na cały dzień. Jego siostra wprawdzie była raczej grzecznym dzieckiem, ale i tak opieka nad nią wymagała większej uwagi niż zwykle. Teo – bo tak na niego mówiono, musiał często gotować małej Mari obiad i pomagać jej w nauce. Co ciekawe, robił to chętnie, nie przywiązując zbyt wiele wagi do otrzymywanych w ten sposób JP. Teo, był prawie o połowę starszy od Mari – miał dwadzieścia trzy lata, ale jego wygląd sugerował, że jest nieco młodszy. Od jakiegoś

czasu zbierał na własne mieszkanie. Większość JP otrzymywał ze sprzedaży wirtualnych umiejętności gry na klawesynie¹. VS (*virtual skills*) były marzeniem każdego beztalencia. Każdy za kilkaset JP mógł nauczyć się wiernie odtwarzać dowolny wybrany utwór muzyczny. Kupowano wirtualne umiejętności gry dzieł Chopina, Rachmaninowa, Paganiniego i wielu innych wirtuozów. Oczywiście nie można było w ten sposób pojąć samej istoty wybranej umiejętności – VS'y polegały raczej na podświadomym odtwórstwie określonych dzieł. Fakt ten nie skreślił więc z listy zawodów, nauczycieli muzyki. Przyjęli oni jedynie nieco inną funkcję. Uczyli gry na instrumentach raczej pod kątem improwizacji i kompozycji niż odtwórstwa. Praca, którą podjął, nie była łatwa. Zanim doszło do sprzedaży jakiegokolwiek umiejętności gry danego utworu, należało najpierw samemu rozczytać nuty. Później trzeba było zagrać ten utwór, nagrać na VPC w odpowiednim formacie i dopiero na samym końcu sprzedać. Cała trudność wynikała z systemu JP. Synthespianie nie dopuszczali idei handlu, któremu bezpośrednio nie towarzyszyła praca. Chodziło o to, aby zminimalizować ilość obywateli, którzy minimalną pracą zdobywaliby dużą ilość JP. Według synthespian, tacy ludzie byli przyczyną szybko rosnącej nierówności ekonomicznej i społecznej. Uważali, że system ekonomiczny, gdzie nadrzędną wartością jest zdobywane dobro, jest zły i prowadzi nie tylko do ekonomicznego krachu, ale i co ważniejsze do moralnego upodlenia. Powrócono więc do czegoś, co w starożytności nosiło nazwę socjalizmu. Nowy socjalizm był doskonalszy, ale obejmował kwestie czysto ekonomiczne. Nad systemem JP panowali synthespianie – wirtualne, niezdolne do kłamstw i oszustw komputerowe programy. Kiedy zamknęło się oczy, byli niemal całkowicie podobni do ludzi.

¹ Instrument klawiszowy – wyglądem przypominający fortepian, którego dźwięk – za pośrednictwem odpowiedniego mechanizmu, wydobywa się po przez szarpanie strun.

Można było im nadać dowolną formę. Synthespianin Teo i Mari zazwyczaj przybierał formę ich matki. Oboje byli do niej bardzo przywiązani. Ojca traktowali nieco z dystansem, ale równie z dużym szacunkiem. On też niekiedy objawiał się w formie synthespianina, ale o wiele rzadziej. Tego dnia, nie było ich rodziców w domu. Teo oderwawszy się w końcu od gry na klawesynie, przez chwilę rozglądał się za Mari. Ta była w ogrodzie – na parterze.

– Mari, długo to jeszcze potrwa? Powinniśmy chyba coś zjeść – w końcu zapytał i oświadczył zarazem.

– Poczekaj, jeszcze tylko jeden i kończę – odparła po chwili, ukryta wśród owocowych drzew siostra. – Co będzie dzisiaj na obiad?

– Gulasz owocowy z orzechami i kaszą... To co zwykle – oznajmił z pobliskiej kuchni Teo.

– Dobrze, powiedz kiedy będzie gotowe – odparła Mari.

Po krótkiej wymianie zdań, znów zapadła cisza...

Przygotowanie posiłku nie trwało długo – może dwadzieścia minut. Pokrojone banany, które zostały przemieszane z wcześniej ugotowaną kaszą, Teo okrasił dużą ilością śmietany i orzechów. Gotowy posiłek wyglądał nieco dziwacznie, przypominał bardziej deser niż obiad. Nie było w tym nic dziwnego, ponieważ ludzkość już dawno przeszła na wegetarianizm. Był to zamierzony efekt dokonywanych setki lat temu manipulacji genetycznych. Obecnie mało kto o tym wiedział. Sądzono raczej, że człowiek od zawsze był przystosowany do wegetarianizmu i jedynie tylko w naprawdę ekstremalnych warunkach był zdolny do jedzenia mięsa. Prawda była jednak nieco inna. Teo jako jeden z nielicznych wiedział o tym. W zasadzie mówienie o dawnej ludzkiej mięsożerności było tabu. Współczesna etyka i religia uznały, że śmierć jest czymś naturalnym, ale zarazem strasznym. Starożytną mięsożerność uznano za główną przyczynę dehumanizacji, wojen i ogólnie rzecz biorąc przemocy. Dostrzeżono, że przemoc dokonywana na ludziach miała swoje

bezpośrednie powiązanie z zabijaniem zwierząt i co ważne nawet z samą świadomością śmierci. Na szczęście z pomocą przyszła nauka – a konkretnie genetyka. Wystarczyło niespełna dwieście lat aby niemal cała ludzkość przeszła na wegetarianizm. Dokonano tego za pomocą jednej – bardzo skutecznej szczepionki, którą wymyślił notabene Polak – Henryk Koprowski. Światowa Organizacja Zdrowia, niemal przymusiła wszystkie kraje do masowych szczepień. Te dwieście lat temu dostrzeżono, że wegetarianizm rozwiązuje wiele problemów. Po pierwsze był ekologiczny i humanitarny. Uprawa roślin i drzew nie wymagała budowania rzeźni ani wyznaczenia odpowiednich miejsc – powstająca coraz to większa ilość agropolis była tego najlepszym dowodem. Produkty roślinne ponadto nie wytwarzały niczego, co szkodziłoby przyrodzie. Masowy ubój zwierząt hodowlanych wiązał się natomiast z ogromną ilością krwi, która całkowicie zatruchiwała pobliskie rzeki. Co więcej, zwierzęta były w takich miejscach wyjątkowo okrutnie traktowane. Te agresywne i zestresowane bito, tylko po to, aby później pozostawić je powolnemu działaniu agonii. Karmiono je siłą, tylko po to, żeby uzyskać z nich większą ilość mięsa. I co gorsza, wstrzykiwano im szkodliwe dla ludzi hormony. Po drugie wegetarianizm przyczynił się do większej tolerancji religijnej. Robiono nawet badania w tym kierunku. Okazało się, że różnice w religijnych przepisach, dotyczących jedzenia określonych potraw, były w 43% odpowiedzialne za niepokoje religijno-społeczne, a w 10% nawet za jawne akty przemocy na tym tle. W końcu po trzecie, wegetarianizm był zdrowszy, bardziej estetyczny i tym samym smaczniejszy. Jeszcze całkiem niedawno, wiele ludzi – szczególnie dzieci, wzdrygało się na widok udka z kurczaka lub drobiowej wątróbki. Wrażliwa emocjonalnie Mari miała więc szczęście mogąc zjeść zdrowy smaczny wegetariański posiłek.

– Smakuje ci Mari? – zapytał w końcu Teo, przysiadłszy się do stołu.

– O tak... No może przydałoby się trochę cynamonu i rodzynek – zasugerowała młodsza siostra, której głos wyraźnie wskazywał na zawstydzenie.

Teo niemal natychmiast zerwawszy się z krzesła na którym przed chwilą usiadł, zaczął szukać cynamonu. Po chwili znalazł go – był na jednej z półek.

– Proszę... Cynamon – odparł. – Rodzynek z tego co pamiętam już nie mamy.

– Nie szkodzi, zrobi się nowe – powiedziała z uśmiechem, wciąż trochę zawstydzona Mari, a następnie chcąc uniknąć niezręcznej ciszy dodała. – Ten stół chyba jest już za stary. Mama i tata muszą go zmienić. Przez te wystające patyki nie można równo postawić talerza.

Teo przyjrawszy się wiklinowej strukturze blatu, który niegdyś był całkowicie przysłonięty warstwą gliny, przez chwilę myślał, aż w końcu odparł:

– Nie, to chyba niekonieczne. Wydaje mi się, że można to naprawić.

– Zrobisz to? – zapytała trochę bardziej śmiało Mari. – Założę się, że pewnie chcesz w ten sposób zdobyć kilka JP.

– W zasadzie to myślałem o tobie. Ja już mam dużo JP – odparł nieco z ironią Teo.

– Szkoda, że nie można komuś podarować kilka jednostek. To byłoby miłe. Wszyscy musimy samemu na nie pracować. To głupie, prawda?

– No, szkoda...

– No właśnie. Kto powiedział, że ludzie potrzebują motyli. Wolałabym dzisiaj wypleść kilka wiklinowych doniczek – przytaknęła Mari, okazując jednocześnie swe niezadowolenie z pracy, którą musiała dzisiaj wykonać.

– Nie wydaje ci się, że całe to polowanie jest trochę zakręcone? – zapytał nagle tajemniczo starszy brat. – No wiesz, całe to łapanie... Ono w zasadzie jest tylko po to, żeby podziwiać takiego insekta. Nic więcej.